

Artur Sporniak: Czego życzy Siostra swoim bezdomnym na Wielkanoc?

S. Małgorzata Chmielewska: Podczas uroczystego śniadania najpierw czytamy fragment Ewangelii o pustym grobie. Potem życzę wszystkiego tego, co się wiąże ze zmartwychwstaniem. Przede wszystkim nadziei i podejmowania życia od nowa – nic nie jest nam w stanie przeszkodzić zaczynać od nowa, bo Chrystus zmartwychwstał. A później dzieląc się jajeczkami składamy sobie życzenia indywidualne. Każdy wie, co komu potrzeba, więc życzenia są konkretne. Mnie zwykle życzą zdrowia i pieniędzy – nie bez pewnej interesowności, bo wiedzą, że pieniądze są potrzebne do tego, co robimy.

Zatem zwłaszcza w Wielkanoc ludziom, którzy ze mną mieszkają i którzy często nie wierzą w siebie i nie wierzą już w życie, usiłuję przekazać, że ma ono sens, że wartość ich życia nie mierzy się dobrami materialnymi, nawet nie mierzy się uznaniem i szacunkiem w społeczeństwie, tylko tym, kim są tu i teraz. Byleby uwierzyli w moc Chrystusa, w siebie – byleby uwierzyli w miłość.

Czy ludzie poranieni w święta chcą się spotykać – nie uciekają od siebie?

W polskiej tradycji święta przeżywa się rodzinnie i w Zochcinie tak staramy się, by były przeżywane. Nie znoszę organizowanych dla biednych jajeczek czy wigilii na dwa dni przed świętami. Uważam to za hipokryzję: odrobiliśmy lekcję a teraz sami siadamy do stołu we własnym gronie, by prawdziwie świętować. Nam chodzi o poczucie: nie jesteś sam, jesteśmy twoją rodziną. Dlatego nikomu nie wolno w dzień Wigilii i w poranek wielkanocny opuścić wspólnoty. Jeśli ktoś chce ten moment gdzie indziej spędzać, to niech jedzie i tam żyje przez cały rok.

Często w święta boimy się spotkać. Stąd stereotypowe życzenia...

Jak w tej anegdocie: życzymy sobie zdrowia i pieniędzy – a przecież na Titaniku wszyscy byli zdrowi i bogaci. Ja często życzę moim współmieszkańcom, byśmy się już za rok nie spotkali, co ich podnosi na duchu.

W naszej konsumpcyjnej cywilizacji kontakt ze sobą ograniczyliśmy do spotkań w interesach. Spotykamy się z ludźmi wtedy, gdy możemy coś na tym zyskać. Tymczasem spotkanie z człowiekiem ubogim jest z definicji bezinteresowne, ale wbrew pozorom bardzo wiele wtedy dostajemy. I nasi ludzie wbrew pozorom potrafią się spotykać – po przebrnięciu przez barierę początkowego lęku. Ponieważ żyjemy razem, to spotkanie ze sobą jest niezbędne.

Kim jest ubogi?

Ubóstwo ma kilka powiązanych zwykle aspektów: może być materialne, duchowe, edukacyjne czy kulturowe. Jest czymś złym, jeżeli nie pozwala człowiekowi na zaspokojenie podstawowych potrzeb i rozwinięcie tego, co mógłby w sobie rozwinąć. Głód, niemożliwość zdobycia wykształcenia, wychowania i wykształcenia dzieci, brak pracy, czyli możliwości realizowania swojego powołania, niemożność założenia rodziny, brak podstawowych środków, sprawiający, że człowiek czuje się poniżony, bo jest np. brudny. To wszystko uniemożliwia jego rozwój, a także możliwość obdarowywania innych – bycie szczęśliwym i wolnym.

W sensie ewangelicznym ubóstwo jest wolnością w stosunku do dóbr tego świata, czyli umiejętnością korzystania z nich bez ich przywłaszczania, ze świadomością, że są wypożyczone. Im więcej posiadam – np. inteligencji, zdolności czy zaradności, bo to też jest bogactwo – tym większe mam zobowiązania wobec innych. Ubóstwo ewangeliczne przejawia się też w rozsądnym i umiarkowanym korzystaniu z własnych możliwości, tak, żeby resztę móc poświęcić dla innych.

Ubóstwo nie jest złudzeniem i u chrześcijanina powinno mieć ono wymiar praktyczny. Nie można powiedzieć, że co prawda mieszkam w pałacu, ale jestem ubogi, bo nie korzystam ze wszystkich pokoi. To obłuda. Oczywiście mogę mieszkać w pałacu, pod warunkiem, że wykorzystuję tyle, ile jest mi potrzebne, zgodnie z tym jak żyję i jakie mam obowiązki, a resztę użyczam innym.

Kiedyś Siostra powiedziała, że w naszym życiu nie chodzi o lepsze jutro. Dlaczego?

Nie jest tak, że mamy poświęcić życie dla przyszłych pokoleń. Oczywiście nie wolno nam niszczyć przyrody, eksploatować rozrutnie zasobów naturalnych – w tym sensie powinniśmy myśleć o przyszłości. Powinniśmy też myśleć o przyszłości naszych dzieciach.

Myślenie, że jutro będzie pięknie jest o tyle absurdem, o ile nie będziemy się starać o to piękno dziś. Ubóstwo – to w złym sensie – niejednokrotnie bierze się z egoistycznych struktur i z egoizmu, który jest we mnie. Zwracał na to uwagę Jan Paweł II. Papież Franciszek mówił, że trzeba zacząć od przebudowy własnego serca, od walki z własnym egoizmem, obojętnością, nienawiścią w stosunku do drugiego człowieka. Nie liczymy na to, że to inni za nas załatwią – to my mamy to załatwić tu i teraz. Nie przebuduję struktur globalnych, ale mogę zmienić ten kawałek świata, który jest wokół mnie. To komunizm kazał się nam wyrzekać wszystkiego w imię budowy lepszego jutra, depcząc nasze prawa tu i teraz.

Powinniśmy „żyć chwilą”?

Tak. W chrześcijańskim sensie żyć chwilą, to wiedzieć, że tu i teraz jest ze mną Bóg. To nie zwalnia mnie z obowiązku myślenia o przyszłości, ale w jakimś sensie taka świadomość zapewnia mi poczucie bezpieczeństwa. Uwalnia mnie od zbytecznego niepokoju i troski o jutro. Co nie oznacza, że nie powinniśmy planować przyszłości. Jeśli ktoś chce rozkręcić interes, musi zrobić biznesplan i sprawdzić, jaki jest rynek. Inaczej byłaby to beztroška. W życiu każdą chwilą nie chodzi o beztroškę. Chodzi o świadomość, że każda chwila jest niezwykle ważna (nie ma chwil mało ważnych) i że od tej chwili zależy chwila następna.

Taka postawa jest wbrew naszej cywilizacji, która pożera czas, usiłuje go przeskoczyć – chce np., byśmy robili kilka rzeczy na raz. Ma być szybko, tanio i przyjemnie. Tymczasem chwila obecna ma wieczną wartość – w tej właśnie chwili Bóg jest tutaj z nami i to, co robimy, rzutuje na przyszłość.

Decyduje o wieczności?

W jakimś sensie tak. Jak łotr na krzyżu można w jednej chwili zyskać niebo, można je w jednej chwili także stracić. Choć w następnej chwili można je na powrót odzyskać – póki żyjemy.

Papież Franciszek to przyjazna dusza dla Siostry?

Tak. Co nie znaczy, że dusze poprzednich papieży są mi nieprzyjemne. Największą część dorosłego życia przeszłam jednak z Janem Pawłem II i z bardzo wielu względów właśnie jego myśl rezonowała w tym, co robimy, kim jesteśmy i także kim ja jestem. Za mojej młodości Paweł VI wycofał się już z życia publicznego, a Jana XXIII pamiętam z dzieciństwa. Przypominam sobie zwłaszcza transmitowany przez polską telewizję jego pogrzeb w Watykanie – komuniści mieli do niego słabość, bo uznał Ziemię Zachodnie.

Czy obecny papież zaskoczył Siostrę swoim sposobem bycia?

Uważam, że jest bardzo dowcipny. Świadczą o tym te momenty, gdy nie chciał nałożyć czerwonej pelerynki przy wyjściu na balkon bazyliki św. Piotra, wznosił toast za kardynałów: „niech Bóg wam wybaczy”, chodzi w normalnych butach. Zachowuje się jak zwykły człowiek. Jest ze szkoły innego Kościoła – Kościoła południowoamerykańskiego, gdzie istnieje tradycja bycia z ubogimi. Oczywiście nie wszyscy biskupi idą tą drogą, ale mamy znane przypadki choćby brazylijskiego biskupa Héldera Câmara czy zamordowanego w 1980 r. arcybiskupa salwadorskiego Oskara Romero. To jest tradycja, w której nie tylko słowami, ale także konkretnymi czynami księża i biskupi starają się być z ludźmi, wśród których ich Bóg postawił, szczególnie z najbiedniejszymi.

Czy to nie powinna być norma w Kościele?

Nie moją rzeczą jest to oceniać. Myślę, że naleciałości historyczne sprawiają, iż w niektórych krajach, w tym w Polsce, istnieje zbyt duży dystans pomiędzy pasterzami a ludem. Na pewno jest to kwestia także pokoleniowa. Bywa, że sprawa jest prosta: jak siedzibą biskupa jest od wieków pałac, to co ma z nim właściwie zrobić? Zburzyć?

Zamienić na świetlicę dla ubogich.

Oczywiście, że można tak zrobić, albo część przeznaczyć na inne dzieła i biskupi to robią. W Sandomierzu np. nowy biskup dużą część pałacu biskupiego przeznaczył na biura kurii i siedziby organizacji katolickich – sobie zostawił jedynie niewielką część.

Nie zawsze zresztą wpuszczenie np. ludzi bezdomnych do pałacu byłoby dla obydwu stron dobre. Dlatego, że ludzie ubodzy mają swoje przyzwyczajenia i swoje sposoby zachowań niekoniecznie zawsze dobrze rozumiane przez innych, i odwrotnie: on także często nie rozumieją zachowań innych. Nie jestem oczywiście za izolowaniem ubogich – ~~w jednym z naszych domów~~ **w naszych domach** przy jednym stole spotykają się autentyczny książę - człowiek z arystokratycznym tytułem i ubodzy, którzy utrzymywali się z żebractwa. Zresztą w dużej mierze w dalszym ciągu utrzymujemy się z żebractwa.

Chrystus przyszedł na świat, żeby go pojednać ze sobą, zatem to jest kwestia bariery materialnej, tylko tego, abyśmy byli jedno, żeby nie było bariery mentalnej czy wręcz „dworskiej” – pomiędzy braćmi i siostrami w tym samym Kościele.

Czy w pokonywaniu tych barier pomaga język używany przez papieża Franciszka: „dzień dobry”, „życzę wam dobrego obiadu”?

Oczywiście, że pomaga. Wiele lat temu, kiedy nawracałam się na naszą wiarę katolicką, dotarł do mnie sens zwyczajnego słowa „dzień dobry”, które ma też głęboki wydźwięk chrześcijański. Jasne, że mówię także „Szczęść Boże”, ale często wolę powiedzieć „dzień dobry” albo „do widzenia”, albo „życzę ci dobrego dnia”. Nie chodzi o to, by wyrzucać sacrum z życia codziennego, bo to też jest niebezpieczne. Jeśli włożymy w pozdrowienie „dzień dobry” naszą serdeczność i chcemy, żeby ten dzień rzeczywiście był dobry dla tych ludzi, to jest coś bardzo wielkiego.

Mamy odruch tworzenia jakiegoś specjalnego języka do spraw religijnych. I stają się one przez to mniej zrozumiałe. Widzę to po reakcjach ludzi na to, co mówię, gdy używam prostego języka. Raz w tygodniu - w środy – w Zochcinie nie ma Mszy świętej, tylko czytamy wspólnie Ewangelię. Niektórzy jeszcze nie doszli do tego momentu w swym życiu, by przychodzić na Mszę – jest ona tajemnicą, do której trzeba dojrzeć. Dlatego w jeden dzień wszyscy spotykamy się w kaplicy. Niewierzący także przychodzą – mogą się wtedy wyciszyć i zastanowić nad swoim życiem. Czytamy Ewangelię z dnia i potem mówię kilka słów. Jest to dla mnie zawsze zdumiewające, gdy mi potem zwracają uwagę, że nigdy wcześniej nie słyszeli, by ktoś w ten sposób mówił w kościele. Jest to zatem kwestia języka.

Papież Franciszek podczas Mszy inauguracyjnej powiedział tak proste rzeczy, że niejeden zapytał: po co został papieżem? Przecież powinien mówić nam jakieś niezwykle mądrości! Może właśnie po to został papieżem, aby przypomnieć nam o rzeczach prostych.

Bez wcielania prostego katechizmu w życie, bez opierania naszej wiary na prostych prawdach i zgłębianiu ich na miarę naszych możliwości intelektualno-duchowych, możemy sobie mówić wiele uczonych rzeczy, których nie będziemy rozumieć, bo nie będziemy ich przeżywać. Ostatnio założyłam stronę internetową www.katolelementarz.pl, gdyż odkryłam, że po wielu latach katechizacji młodzi ludzie nie mają pojęcia o podstawowych prawdach wiary. Znaleźć tam można krótką historię zbawienia, pop-brewiarz (czyli brewiarz w wersji popularnej), czy kościelny savoir-vivre.

Wracając do papieża, mówi on o miłości i przyjaźni, o zwykłym ludzkim cieple. Zastanówmy się: dlaczego mamy się wymądrzać, jeśli jeden drugiego nie traktuje jak brata?

Kiedyś napisałam list do biskupa z prośbą o spotkanie. Odpisano mi mniej więcej w ten sposób: Jego Eminencja udzieli audiencji... Odpisałam pytając: od kiedy ojciec udziela dziecku audiencji? Audiencji udziela król albo ambasador, a nie ojciec! Biskup nie jest moim władcą tylko ojcem.

Papież Franciszek unika mówienia o sobie „papież”, mówi raczej „biskup Rzymu”, a na Mszy inauguracyjnej wzywa: „Nie powinniśmy bać się czułości!”.

Dokładnie tak! Czytam fantastyczną książkę o przyjaźniach między kobietami i mężczyznami w Kościele. **(???)** Nie powinniśmy się bać czułości. Tymczasem mniej więcej od XIX wieku boimy się w Kościele czułości i serdeczności – takich zwykłych ludzkich gestów. Zresztą jest to coraz bardziej problem nie tylko katolików, ale w ogóle współczesnego człowieka – nie mamy na te gesty czasu, bo one pociągają za sobą zobowiązania. Życzliwość zastępujemy prezentami kupowanymi przez internet i wysyłanymi pocztą. Nie mamy też czasu na pamięć o innych.

W jakimś sensie św. Franciszek przegrał, gdyż bracia jeszcze za jego życia poszli inną drogą, niż sobie wymarzył. Czy ta franciszkańska pokora obecnego papieża nie rozbija się w podobny sposób o naszą inercję?

Gdyby św. Franciszek przegrał, nie mówilibyśmy o nim dzisiaj. Jesteśmy wszyscy skłonni do odrzucania tego, co w Ewangelii jest niewygodne. Po ludzku rzecz biorąc, papież Franciszek może przegrać. Ale i tak jego sposób bycia zostanie w naszej pamięci i pewne rzeczy będą już nieodwracalne.

To znaczy?

Pewnych rzeczy nie będzie wypadało robić. Mimo tego, że antysemityzm nie zniknął całkiem z życia Kościoła, po Janie Pawle II nie wypada już publicznie przyznawać się do antysemityzmu. Papież Franciszek już nadaje pewien kierunek Kościołowi i nie łatwo będzie ten kierunek uczynić niebyłym.

Po ludzku rzecz biorąc Jezus też przegrał. A jednak nie przegrał, gdyż ciągle próbujemy powracać do ewangelicznych korzeni: każdy w swoim życiu i Kościół jako całość. Tu nie będzie przegranej. Oczywiście możemy dostać po łapach, mogą się wydarzyć różne rzeczy. Jana Pawła II chciano fizycznie zlikwidować. Jan XXIII, kiedy przyjmował dzieci Chruszczowa, spotkał się z niezrozumieniem nawet najbliższych współpracowników. Kiedy Jan Paweł II organizował spotkanie międzyreligijne w Asyżu miał wielu oponentów w samej kurii Rzymskiej i nie tylko. A jednak ta idea przenika do naszej świadomości. Sama parę lat temu uczestniczyłam w takiej modlitwie na Zjeździe Gnieźnieńskim.

Jezus będzie przegrany, kiedy odrzucimy to, co ma nam do przekazania.

Co znaczy dla ubogich, że Jezus zmartwychwstał? Ubogi nie ma złudzeń co do życia, więc jest mu chyba trudniej wierzyć w zmartwychwstanie...

Co Jezus powiedział w Nazarecie, że komu przyszedł głosić Dobrą Nowinę?

Ubogim.

Póki każdy z nas nie stanie się ubogi, nie usłyszy Dobrej Nowiny. Innej drogi nie ma. Najbardziej kontemplacyjnym miejscem w Warszawie jest nasze schronisko dla ludzi bezdomnych chorych, gdzie kilkanaście godzin dziennie trwa adoracja Najświętszego Sakramentu. Najpierw zaproponowaliśmy jedynie pół

godziny adoracji na osobę. Powstał bunt, że to za mało! Teraz każdy co najmniej przez godzinę adoruje. A przecież to są ludzie, którzy mogliby krzyknąć na Pana Boga, że zabrał im wszystko.

Kim oni są?

Bezdomni, ciężko chorzy, bez rąk, bez nóg, zaburzeni psychicznie, niektórzy umierający, ludzie starsi, którzy nic nie mają. Około dziewięćdziesiąt osób. Wiedzą, że mogą stracić wszystko prócz Bożej miłości, Bożego miłosierdzia i Bożej obecności. To, co jest najważniejsze w życiu, tak naprawdę odkryli teraz.

Jan Paweł II w adhortacji o powołaniu świeckich umieścił niesamowite słowa, o których dzisiaj mało kto pamięta: „Wy wszyscy, opuszczeni i zepchnięci na margines naszego konsumpcyjnego społeczeństwa, chorzy, ułomni, ubodzy, głodni, emigranci, uchodźcy i więźniowie, bezrobotni, starcy, dzieci opuszczone i osoby samotne, wy ofiary wojny i wszelkiego rodzaju przemocy rodzącej się w naszym zezwalającym na wszystko społeczeństwie. Kościół uczestniczy w waszym cierpieniu prowadzącym do Pana, który włącza was w swoją odkupieńczą Mękę i pozwala Wam żyć w świetle swojego Zmartwychwstania”. Następne zdanie jest rewolucyjne: „Liczymy na wasze świadectwa, aby uczyć świat, czym jest miłość” (p. 53). Kościół czeka na ich świadectwo, aby uczyć świat, czym jest miłość!

Człowiekowi ubogiemu nie jest trudno przyjąć prawdę o zmartwychwstaniu pod jednym warunkiem: że nie żyje w buncie. Co nie oznacza, że nie chce polepszyć swojej sytuacji. To dwie różne sprawy. Człowiek, który nie ma nic, też może być „bogaty” w tym sensie, że zazdrości, jest pełen pychy i egoizmu. Niedawno był u nas pan, który był bardzo dumny, że od dwudziestu lat jako bezdomny żyje na cudzy koszt i nie ma zamiaru ~~to~~ tego zmieniać. W takiej postawie nie ma ewangelicznego ubóstwa.

Mamy przekazywać Dobrą Nowinę o zmartwychwstaniu. Czyli konkretnie wspierać tych, którzy sami sobie nie radzą. Jeśli zatem nie ma co jeść, to oczywiście nie mogą najpierw mówić o zmartwychwstaniu zanim go nie nakarmię. A dopiero potem mogę pomóc mu przyjąć, że to, co robię, robię w imię Chrystusa.

Chrystus zatem jest żywy, bo nic innego nie byłoby mnie w stanie zmusić do tego, żebym mu dała jeść, jak tylko to, że jest on moim bratem w Chrystusie. I to jest prawda o zmartwychwstaniu. Tę prawdę widzimy naocznie, kiedy przychodzi do nas człowiek w opłakanym stanie – brudny, śmierdzący, zawszony – a po paru miesiącach wychodzi elegancko ubrany, uśmiechnięty, czysty, wierzący w siebie.

Pewna ofiara przemocy była w naszej noclegowni dwa lata. Niedawno spotkała ją w Warszawie dziewczyna z naszej wspólnoty. Ta kobieta szła z dumnie podniesioną głową i uśmiechała się do samej siebie. Zapytana, dlaczego tak się uśmiecha, odpowiedziała: „Dlatego, że od dłuższego czasu jestem wolnym człowiekiem. Wiem, że jestem kimś, uwierzyłam w siebie, mam pracę, mam nadzieję na mieszkanie, córka moja odzyskała spokój”.

To jest zmartwychwstanie, którego w imię Chrystusa możemy być jego światkami. Jak sobie je inaczej wyobrażać?
